
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI



Wojna
futbolowa

Czytelnik

Ryszard Kapuściński

**Wojna
futbolowa**

Czytelnik

Opracowanie graficzne
Andrzej Heidrich

Copyright © by the Estate of Ryszard Kapuściński,
2007, 2019

ISBN 978-83-07-03459-1

Boże!

Mimo tylu modlitw do Ciebie ciągle przegrywamy nasze wojny. Jutro znowu będziemy walczyć w bitwie, która jest naprawdę wielka. Ze wszystkich sił potrzebujemy Twojej pomocy i dlatego muszę Ci coś powiedzieć: ta jutrzejsza bitwa to będzie ciężka sprawa. Nie będzie w niej miejsca dla dzieci. Dlatego proszę Cię, nie przysyłaj nam na pomoc Twojego Syna. Przybądź Sam.

(Modlitwa Koqa — wodza plemienia Grikuasów przed bitwą z Afrykanerami w 1876 r.)

Hotel Metropol

Mieszkam na tratwie, w bocznej uliczce handlowej dzielnicy Akry. Tratwa stoi wyniesiona na słupach do wysokości pierwszego piętra i nazywa się Hotel Metropol. W porze deszczów ten dziwoląg architektoniczny gnije i pleśnieje, a w miesiącach suszy — rozsycha się i trzeszczy. Ale się trzyma! Pośrodku tratwy stoi zabudowanie podzielone na osiem przegród. To nasze pokoje. Reszta miejsc objęta rzeźbioną balustradą nazywa się werandą. Tam mamy wielki stół do posiłków i kilka małych stolików, przy których pijemy whisky i piwo.

W tropiku picie jest przymusem. Jeśli dwóch ludzi spotyka się w Europie, wymieniają najpierw: „Dzień dobry! Co słychać?”. Dwoch ludzi w tropiku wita się inaczej: „Czego się napijesz?”. Pije się często w dzień, ale picie nakazane, picie programowe, odbywa się wieczorem. Albowiem wieczór przechodzi w noc, a noc czyha na śmiałka, który zakpił z alkoholu.

Noc tropikalna jest żelaznym sojusznikiem wszystkich wytwórni whisky, koniaków, likierów, sznapsów i piw na świecie i kto nie daje tym wytwórniom zarabiać, zwalczany jest przez noc jej najlepszą bronią: bezsennością. Każda jest męcząca, ale bezsenność w tropiku jest zabójcza. Człowiek katowany w ciągu dnia przez słońce, wycieńczony nigdy niezaspokojonym pragnieniem, maltretowany i osłabiony, musi spać.

Musi. Kiedy nie może!

Jest zbyt duszno. Wilgotne, lepkie powietrze wypełnia pokój. Zresztą nie jest to powietrze, a mokra wata. Oddychać — znaczy tyle, co łykać kłębkę waty nasączonej ciepłą wodą. Tego nie można znieść. To mdli, upadła, denerwuje. Tną moskity, hałasują małpy. Ciało jest lepkie od potu, wstrętne w dotyku. Czas stoi w miejscu, sen nie przychodzi. O szóstej rano, przez cały rok niezmiennie o szóstej rano — wstaje słońce. Do martwej duszności tej łaźni dodaje żar swoich promieni. Trzeba wstać. A nie ma sił. Napoleon rano nie wiąże sznurówek, bo mówi, że taki wysiłek jak schylenie się do buta jest dla niego przyduży. Psychicznie taka noc nastraja okropnie. Człowiek czuje się tam rozbity jak stary kapiec. Jest zgaszony, bezzębny, workowaty. Dręczą go nieokreślone tęsknoty, niewysłowione nostalgiczne, mroczne pesymizmy. Czekają, aby przeszedł dzień, aby przeszła noc, aby wszystko już wreszcie, do cholery, przeszło!

No i pije. Przeciw nocy, przeciw chandrze, przeciw nieczystościom w kiblu swojego losu. Tylko na takie stać go zmaganie.

Wujek Wally pije jeszcze dlatego, że mu to pomaga na płuca. Ma gruźlicę. Jest chudy, dyszy ciężko, z poświstem. Siada na werandzie i woła: „Papa — jedna!”. Papa idzie do baru i przynosi butelkę. Ręce wujka zaczynają drżeć. Do szklanki nalewa whisky, dopełnia zimną wodą. Wysączają tę porcję i już szykuje nową. Oczy zachodzą mu łzami, wstrząsa nim bezgłośny szloch. Ruina, strzęp. Londyńczyk, w Anglii był majstrem budowlanym. Wojna zaniósła go do Afryki. Tu został. Dalej jest majstrem, tylko się rozpił i nosi wygnięte płuca, których nie leczy. Za co ma leczyć? Połowę zarobku oddaje na hotel, drugą — na whisky. Nie ma nic, nic literalnie. Koszule w strzępach, jedne wycerowane spodnie, liche sandały. Jego rodacy, elegancyści nieskazitelnie, wykleli go, przepędzili. Zabronili mu się przyznawać, że jest Anglikiem. Dirty lump. Brud-

na łajza! Pięćdziesiąt cztery lata życia. Co mu zostało? Wypić trochę whisky i zejść do piachu. Więc pije i czeka kolejki na piach. „Nie złość się na rasistów — mów do mnie. — Nie złość się na burżujów. Czy myślisz, że pójdziesz do innej ziemi niż oni?”

Jego miłość do An. Mój Boże: miłość. An przychodziła, kiedy brakowało jej na taksówkę. Była kiedyś dziewczyną Papy i ciągle jeszcze żądała za tamto drobnych rekompensat: dwa szylingi. Twarz miała w tatuażach. Pochodziła z północnego plemienia Nankani, a na północy niemowlętom kancerują twarze. Zwyczaj brał się stąd, że plemiona z południa podbijały plemiona z północy i sprzedawały je białym jako niewolników, więc północni oszpecali czoła, policzki i nosy, czyniąc się w ten sposób towarem niechodliwym. W języku Nankani brzydki znaczy tyle samo co wolny. Synonimy. An miała miękkie, zmysłowe oczy. Cała była w tych oczach. Patrzyła na kogoś długo i kocio, a kiedy widziała, że to spojrzenie chwyciło, zaczynała się śmiać i prosiła: „Daj dwa szylingi na taxi”. Wujek Wally dawał zawsze. Nalewał jej whisky, łzawił się, uśmiechał. Mówił jej: „An, zostań ze mną. Przeszanę pić. Kupię ci samochód”. Odpowiadała: „Po co mi samochód? Wolę się kochać”. Mówił: „Będziemy się kochać”. Spytała: „Gdzie?”. Wujek wstał od stolika, do jego pokoju było kilka kroków. Otworzył drzwi, trzymał kurczowo klamkę. W mrocznym kojcu stało żelazne łóżko i mała szafka. An wybuchnęła śmiechem: „Tu? tu? Moja miłość musi żyć w pałacach. W pałacach białych królów!”

Byliśmy przy tej scenie. Papa podszedł, trącił An w ramię i mruknął: „Spływaj”. Poszła rozbawiona, machając nam ręką — bye, bye. Wujek Wally wrócił do stolika. Chwycił butelkę i zaczął z niej pić duszkiem. Nie dokończył, opadł na krzesło. Położyliśmy tego straceńca w jego kojcu, na żelaznym łóżku, na białym prześcieradle — bez An.

Odtąd mówił mi zawsze: „Red, jedyna kobieta, która cię nie zdradzi, to twoja matka. Nie licz na więcej”. Lubiłem go słuchać. Był mądry. Powiedział: „Modliszki afrykańskie są uczciwsze niż nasze żony. Znasz modliszki? W świecie modliszkowym zaloty trwają krótko. Potem owady odbywają wesele. Para modliszków udaje się na noc poślubną. A rano modliszkowa zagryza modliszka na śmierć. Po co ma go zamęczać przez całe życie? Wynik przecież byłby ten sam. A wszystko, co się robi wcześniej, robi się uczciwiej”.

Ten gorzki ton w wynurzeniach wujka niepokoił Papę. Papa trzymał nas krótko. Przed wyjściem musiałem mu mówić, gdzie idę i po co. Inaczej — awantura. „Boję się o ciebie!” — krzyczał. Kiedy Arab krzyczy, nie trzeba się tym przejmować. Taki ma sposób mówienia. A Papa był Arabem, Libańczykiem. Habib Zacca. Dzierżawił hotel od roku. „Po Wielkiej Klęsce” — mówił. O tak, walnęła w niego strasznie. „Zacca? — wołał jego przyjaciel — Zacca to był milioner! Milioner! Zacca miał willę, samochody, sklepy, ogrody”. „Jak mi stanął zegarek, wyrzuciłem go przez okno — wzdycha Papa. — Mój dom miał drzwi zawsze otwarte. Codziennie tłum gości. Jedz, pij — co chcesz. A teraz? Oni mnie nie poznają. Muszę się im przedstawiać, a żarli u mnie za tysiące”. Papa przyjechał do Ghany dwadzieścia lat temu. Zaczął od sklepiku z tekstyliami i doszedł do ogromnej fortuny, którą stracił potem przez rok. A stracił na wyścigach. „Konie mnie zjadły, Red”.

Widziałem jego stajnię. Za miastem w palmowym lesie miał stajnię. Dziewięć białych koni: wspaniałe arabry. Jak on je znał, jak pieścił! Na żonę Papa krzyczał, ale do koni czulił się jak kochanek. Wyprowadził jednego z nich. „Najlepszy koń w Afryce” — powiedział z rozpaczą, bo ten as miał na pęcinnie ranę nieuleczalną. Wszystkie konie miały te rany, powoli stajnia mu zdychała. Dla niego była to tragedia większa niż strata

miliona. Z utratą koni jego jedyna pasja nie miała znaleźć zaspokojenia. Bywały dni, kiedy nie mógł odwiedzić stajni. Wtedy chodził podrażniony, ciskał pioruny. Uspokajał się dopiero w lesie palmowym, patrząc, jak chłopak stajenny przeprowadza przed nim kolejno bystre, krwiookie araby.

Żonie nigdy Papa koni nie pokazywał. Obchodził się z nią krótko, ostro. Często siadała w fotelu, pałac papierosa, nieruchoma, milcząca. Spytałem ją: „Ile pani ma lat?”. „Dwadzieścia osiem”. A była siwa jak gołąb, blada, zmarszczona. Urodziła czworo dzieci. Dwoje żyło w Libanie, dwoje w Akrze. Przywoziła czasem córkę — chora, upośledzona dziewczynka. Rzucała się na podłogę, pełzała na czworakach, krzycząc tak, że mroziło nam krew. Miała dziesięć lat i nie umiała chodzić ani mówić. Wlokła się do kąta, w którym stał gramofon, zadzierała głowę, błagała spojrzeniem. Matka puszczała płytę. Śpiewała Dalida i w ten śpiew wbijał się niesamowity pisk dziewczynki. Cieszyła się, jej twarz promieniała. Płyta milkła i z gardła dziecka wydobywał się bełkot: prosiła o jeszcze.

Mała lgnęła do Premiera. On jeden umiał się do niej uśmiechać. Obejmowała go za nogi, łąsiła się, mruzczyła. Głaskał ją po główce, pociągał za ucho. Mówiliśmy na niego Premier, bo przechwalał się znajomościami w rządzie Gwinei. Przedtem mieszkał w Konakri, czymś tam handlował. „Kto będzie jechał do Gwinei, niech mi powie — reklamował się. — Dam mu list do Sékou Touré. Mój koleżka. Ministrowie? Co tam ministrowie: nie ma z kim gadać”.

Premier ma ze mną konszachty. Bierze mnie na bok, stawia piwo. „Słuchaj, Red — zaczyna — tyle jeździłeś po świecie, powiedz, w którym kraju mógłbym otworzyć wielki business? Mój business w Ghanie mały. Maleńki business”.

Patrzę na tego grubaska, na jego spoconą twarz, na

tę minę zbitego psa. Co mu poradzić? Myślę sobie — taki kapitalistyczny człowieczek, żaden finansowy rekin, tylko płotka z szeregowej armii drobnych sklepikarzy — czemu by nie podsunąć mu jakiegoś pomysłu? Rozważam: Birma, Japonia, Pakistan. Wszędzie ciasno, wszędzie tłok. „Może Indie?” — pyta Premier. O nie, w Indiach ciężko. W każdym kraju monopol. „Za dużo monopolu — mówię — przekłety kapitalizm”. Kiwa głową, przyznaje markotnie: „Przekłety kapitalizm”. Premier jeździ do kraju, stara się wcisnąć na rynek, urosnąć, pod wieloma niebami próbował rozbić swój szałasik. Ale nic z tego. Jałowa mitręga, rozgoryczająca szarpanina. „Nie ma kraju na wielki business?” — pyta. „Chyba nie — mówię — tak mi się zdaje, że nie”.

Szkoda mi Premiera. Chodzi, rozważa, przepytuje. Kupił sobie globus, wodzi po nim palcem. Czasem palec mu gdzieś przystanie. Woła mnie: „A tu, Red?”. Patrzę. Pokazuje Filipiny. „Ej, nie — powiadam — tam Amerykanie”. „Amerykanie? — upewnia się z przestrachem. — Mały business?”. Rozkładałam ręce: „Pewnie mały. Maleńki business”. Duma chwilę i zwierza się. „Bardzo bym lubił wielki business. Bardziej niż kobiety”. „Kobiet nie lubisz?” — wtrącam. — „Owszem, też dobre. Najpiękniejsze kobiety są w Dakarze”.

W tym przedmiocie Premier kłóci się zawsze z młodym Khouri, synem Wielkiego Khouri. (Też Libañczyki). Młody Khouri — Nadir — jest światowcem prawdziwym. W Paryżu ma samochód, w Londynie samochód i w Rzymie. Bęwał z niego kompletny. Rozmowy z nim wprowadzają mnie w nastrój ubawu szczytowego. „Jedź ze mną do Australii” — proponuje. „Kiedy nie mam forsy” — odpowiadam. „To napisz do ojca, niech ci przyśle”. „Mój ojciec skąpy — tłumaczę — nie daje mi tak fruwać”. Nadir w rozpuście i w rozrzutności nie zna granic. Wszystko ma. Tata faszeruje go forszą bez przerwy. Wielki Khouri kocha małego Khouri.

Stary mieszka w małym domku w mieście Nsawam pod Akrą. Domek próchnieje, sprzęty w nim liche. Chudobiedne obejście. Ale to jest mieszkanie bodaj najbogatszego człowieka w całej Afryce Zachodniej, multimilionera, Wielkiego Khouri. Ten uliczny handlarz z Bejrutu ma kapitał, a nie ma wymagań. Wcina razowe placki, pieczone na ogniu, i mnoży zyski do zawrotnych sum. Jest staruszkim, zemrze może w tym roku. W Bejrucie ma całą ulicę domów. Nie widział tego na oczy. Wielki Khouri jest analfabetą. Musi mieć zaufanego, który by mu pisał listy handlowe.

Jest taki człowiek, mieszka z nami w Metropolu. Młody Khouri patrzy na niego zawsze z czcią. „To intelektualista” — tłumaczy mi. Rozmowny, dowcipny, kawałami sypał jak z rękawa. Pokazywał nam fotografie: miła, starsza pani pod parasolem, „To moja narzeczona — objaśnił — mieszka w Kalifornii. Czeka na mnie piętnaście lat. Poczeka drugie tyle i umrze. Ale śmierć nie jest straszna. Trzeba być tylko bardzo zmęczonym”. I wybuchał śmiechem. Intelektualista upijał się po kryjomu, nigdy na werandzie. Mówił, że picie przy ludziach jest objawem braku kultury. W trakcie rozmowy wstawał, szedł do pokoju i chciwie wysączał butelkę. Słyszeliśmy potem łomot ciała o podłogę: jakos nigdy nie zdążał dojść do łóżka.

Intelektualista, jeśli nie pisał listów dla Khouriego, wdawał się w dysputy z Napoleonem. Była to drobna istota, z pękatym brzuszkiem. „Tęsknię za domem — mówił — tęsknię za domem”. Ale siedział tu kamieniem. Po werandzie maszerował krokiem defiladowym, tam i z powrotem. Wyjmował lusterko, liczył zmarszczki. „Mam sześćdziesiąt lat, a widzicie, jaki jestem młody, jaki silny! Mogę chodzić i chodzić, nic się nie męczę. Na ile wyglądam, co?”. Papa odpowiadał: „Na dwadzieścia”. „No proszę, widzicie” — triumfował, natężał się, aż występowały mu żyły na skroniach. Chyba miał

kota. Wreszcie kiedyś wyjechał. Ustało jego tupanie. Zrobiło się ciszej.

Werandę było widać z ulicy. Oświetlało ją kilka słabych żarówek. W ich świetle dostrzegało się z dołu poruszające się na tratwie cienie. Te cienie nie należały do nikogo. Ich niema pantomima, ich powolny taniec odbywał się w sercu Kokompe. Ale ta dzielnica — rdzenie murzyńska — nie uznawała ich istnienia. Kokompe miała swoje życie, obce i niedostępne dla Metropolu. W opinii dzielnicy cienie z tratwy należały do innego świata. Był nim obszar zajęty przez bungalowy białych przedstawicieli administracji i handlu, dzielnica Cantonments. Z tamtej jesteście rodziny! — mówiła Kokompe, przechodząc obojętnym tłumem swych mieszkańców obok hotelu.

Ale cienie nie istniały także w oczach Cantonments. Gdzieżby tam! Dzielnica Cantonments odwracała się od tratwy z pogardą i wstydem. Tratwa była hańbą, którą Cantonments wołała zamilczeć, Cantonments — ta bogata, układna, snobistyczna biurokratka europejska, burżujka.

Więc tratwa nie była uwiązana do żadnej barki: cienie istniały dla siebie. Mogły mnożyć się lub znikać — nie miało to znaczenia. „Co ma znaczenie?” — pytał wujek Wally. Nikt mu nie odpowiadał.

1960

W jaki sposób trafiłem do rozbitków żyjących na trawie? Pewnie nie poznałbym ich nigdy, gdyby nie przypadek, a także pewna dziewczyna, która nie chciała Araba. W roku 1958 leciałem samolotem z Londynu do Akry. Był to duży i powolny super-constellation brytyjskich linii lotniczych. Ruszyłem w drogę pełen emocji (pierwszy wyjazd do Afryki!), ale zarazem niepewny jutra, bo nikogo w Ghanie nie znałem, nie miałem nazwisk, adresów, kontaktów i, co gorsza, większych pieniędzy. Dostałem miejsce przy okienku, po mojej prawej ręce siedział Arab, a obok niego jasna dziewczyna w typie skandynawskim, z bukietem kwiatów na kolanach.

Lecieliśmy nad Saharą nocą, te przeloty są zawsze wspaniałe, ponieważ dają wrażenie, jakby samolot był zawieszony między gwiazdami. Gwiazdy nad nami — to zrozumiałe. Ale również gwiazdy gdzieś w dole, na dnie nocy. Dlaczego jest tak — nie wiem.

Cały czas Arab zalecał się do tej skandynawskiej dziewczyny, która — okazało się — leciała do narzeczonego (technik odbywający kontrakt w jednej z firm rządowych) i wiozła mu kwiaty. Ale mój sąsiad nie pęszył się, od razu chciał się oświadczyć, obiecywał jej piękne i wytworne życie w dowolnym mieście świata. Zapewniał, że jest bogaty, że ma dużo money i jeszcze kilka razy: dużo money. W końcu Skandynawka, najpierw spokojna i cierpliwa, potem już znudzona i zła,

powiedziała mu ostrym tonem, żeby przestał ją męczyć, a po jakimś czasie wstała i przeniosła się na inne miejsce.

Zwykła, banalna historyjka, ale mająca ten skutek, że zmusiła Araba do zmiany przedmiotu zainteresowania, teraz, zgaszony, zwrócił się on w moją stronę i zaczął rozmowę. Nazywał się Nadir Khouri. A ja? Tak a tak. A kim jestem? Reporterem. A po co jadę? Patrzyć, chodzić, pytać, słuchać, wąchać, myśleć, pisać.

Aha.

Gdzie będę mieszkać? Nie wiedziałem. To on da mi dobry hotel. Może nie taki dobry, ale dobry. Własność przyjaciela, wielkiego kiedyś człowieka. On mnie tam zawiezie i poleci. I rzeczywiście Nadir Khouri prosto z lotniska zawiózł mnie do Hotelu Metropol i oddał w opiekę Habiba Zacci.

W tym czasie świat naprawdę interesował się Afryką. Afryka była zagadką, tajemnicą — nikt nie wiedział, co stanie się, kiedy trzysta milionów ludzi wyprostuje plecy i zażąda prawa do głosu. Zaczęły powstawać tam państwa, te państwa kupowały broń i w różnych gazetach zagranicznych pojawiło się pytanie, czy Afryka nie ruszy na podbój Europy. Dzisiaj takie pytanie wydaje się mało poważne, ale wówczas zadawano je z niepokojem i serio. Dlatego ludzie chcieli wiedzieć, co dzieje się na tym kontynencie, dokąd on zmierza i jakie ma zamiary.

Nigdy nie fascynowała mnie tak zwana egzotyka, choć później przeżyłem kilkanaście lat w świecie określonym jako egzotyczny. Nie pisałem ani o polowaniach na krokodyle, ani o łowcach głów, choć przyznaję, że są to ciekawe tematy. Ale odkryłem dla siebie inną rzeczywistość, która mnie pociągnęła bardziej niż wyprawa do wioski czarowników czy rezerwaty dzikich zwierząt. Rodziła się nowa Afryka i nie była to przenośnia, nie był to ogólnik z artykułu wstępnego. Godziny tych narodzin były czasem bolesne i dramatyczne, a niekie-

dy pogodne i radosne, ale w obu wypadkach wszystko odbywało się według innych wzorców, w innym klimacie, no, w ogóle inaczej (z naszego punktu widzenia), i to właśnie wydawało mi się, że jest nową, nieopisaną dotąd egzotyką.

Myślałem, że najlepiej opowiem o Afryce, pisząc o człowieku, który był wtedy największą postacią kontynentu, był politykiem, wizjonerem, trybunem i magiem — o Nkrumahu.

Bezdomny z Harlemu

Na placu West End — ludzkie mrowie.

Wzniesiono stos.

Strzeli płomień.

Kto będzie ofiarą?

Rano auta partyjne z głośnikami na dachach objechały miasto:

Wszyscy, którzy idziecie ulicą, którzy jesteście na rynku, którzy siedzicie w domu i w biurze — PRZYJDŹCIE WYRAZIĆ SWÓJ GNIEW.

Dwa razy się nie powtarza. Manifestacja uczuć jest obowiązkiem ludu. A lud zna tu swoje obowiązki. I plac jest pełny. Jest zgnieciony, ale cierpliwy, jest zgrzany, ale wytrwały. Razi go słońce — ale słońce to codzienność. Nęka pragnienie — ale nie ma wody. Pali od dołu (ziemia), pali od góry (niebo), a w uścisku tych dotkliwych kleszczy najlepiej stać spokojnie: ruch wyczerpuje. Mając jeden ogień pod sobą i jeden nad sobą, ludzie stoją i czekają na ogień trzeci.

Na płomień stosu.

Rozpytuję tędy owędy — co tu będzie? Nikt nie wie. Kazali przyjść, no to się jest. Bez powodu by tego ludu nie ściągali. Zdziwione spojrzenia zaczepionych: po co się tyle pytać? Będzie wyjaśnione. Przyjdzie kolej na nas, to się dowiemy. Zaraz Welbeck powie.

Welbeck, minister państwa, postawny, skromny, w czarnej krymce muzułmanina — bierze do ręki mikrofon. Słabo słychać, ale sens można złowić:

— ...pcha się imperializm... Nkrumah został obrażony... to potwarz... nie możemy...

Ej, to poważna sprawa! Kto żyw nadstawia ucha, ciśnie się do Welbecka. Głowy falują, potem nieruchomieją, minister ciągnie dalej:

— ...imperializm chciałby... ale my... więc nigdy...

— Skończyć z nim! — domagają się niecierpliwi. Sąsiedzi uciszają śmiałków. Zamieszanie, odpływ szumu, spokój.

— Amerykański tygodnik „Time” napisał o Nkrumahu oszczerstwa. Przedstawił jako małego karierowicza tego, który jest przywódcą, twórcą i czarodziejem współczesnego nacjonalizmu!

Wszystko jasne: jest taki tygodnik, nazywa się „Time”; imperialiści szkalują w nim Kwame.

Oto notatka, którą opublikował „Time” 21 XII 1959 r.:

„Najpierw jego ludzie nazywali go chłopcem na pokaz (show-boy). Później został premierem. Tego roku stał się Prywatnym Doradcą Królowej. Dzisiaj jego entuzjaści w Ghanie nazywają go również Pierwszym Obywatелеm Afryki. Wydaje się, że nie ma miary w znajdowaniu tytułów dla Kwame Nkrumaha, lat 50. W ostatnim tygodniu dziennik Akry «Evening News», jeden z najbardziej wylewnych adoratorów premiera (zamieszcza on jedno lub więcej jego zdjęć niemal codziennie), podawał, że w marcu ludność Ghany będzie rozstrzygać dwie sprawy: 1) czy kraj powinien stać się pełną republiką i nie uznawać Elżbiety II za królową Ghany, 2) czy aprobuje Nkrumaha jako pierwszego prezydenta na okres 7 lat. Zdaniem «Evening News» tylko jeden człowiek odpowiada temu stanowisku. Jest nim:

OSAGYEFO (Wielki Człowiek),

KATAMANTO (Człowiek, którego Słowo jest Nieodwołalne),

OYEADIEYIE (Człowiek Czynu),

KUKUDURUNI (Mąż Odwagi),
NUFENU (Najsilniejszy ze Wszystkich),
OSUODUMGIA (Gaśnica Ognia),
KASAPREKO (Człowiek, którego Słowo jest Ostatecz-
ne) — Kwame Nkrumah, wyzwoliciel i twórca Ghany”.

Skandaliczność tej notatki jest oczywista. „Nie ma końca tytułom”. A cóż to panów obchodzi? Czuję, jak udziela mi się nastrój tłumy. Przepycham się do mów-
nicy. Chcę lepiej słyszeć:

— Takie niecne podgryzania są wysiłkiem chybio-
nym. To, że mamy Kwame, jest błogosławieństwem dla
Ghany, tak jak błogosławieństwem dla Ameryki było
to, że miała Lincolna, dla Rosji — że miała Lenina, dla
Anglii — że miała Nelsona. Nkrumah jest bezcennym
klejnotem w koronie światowego nacjonalizmu. Jest
Mesjaszem i organizatorem, przyjacielem cierpiącej
ludzkości, który osiągnął swoje wyżyny drogą bólu,
służby i poświęcenia.

Ładnie to Welbeck powiedział, ludzie klaszczą z u-
znaniem. Dostało się tym panom z „Time’a”. Nie mają
tu czego szukać. Stoję tak w tłoku i piszę, i nagle czu-
ję, że mi nie tak duszno. Że się wokół mnie robi prze-
stronnie. Że najbliżsi się odsuwają. Rozglądam się —
te oczy nie są dobre, te błyski są zimne, mnie jest raptem
zimno, już pojąłem. Jestem tu jedynym białym i piszę
w notesie. No to znaczy, że dziennikarz. Mam koszul-
kę z jakimś wzorkiem, więc ze mnie żaden Anglik, bo
Anglik nie włoży koszuli z wzorkiem. Ale jak nie je-
stem Anglikiem, to kim mogę być? Tylko Ameryka-
ninem. Amerykański dziennikarz! Boże święty, jak tu
prysnąć?

— Palić! Palić! — wołają aktywiści, przeciskając
się do stosu. Gwałtowne okrzyki, groźby, fukania, tu-
pot. Nie słychać wołań Welbecka, choć Welbeck daje
właśnie sygnał:

— Palić!

Biorą stertę pism i zapalają. Kopci się to, bo nie ma ani krzty wiatru. Wszyscy chcą widzieć, prą do ogniska. Welbeck woła:

— Nie pchać się! To niebezpieczne!

Nikt nie słucha. Kto ma jakiś papier w rękę, rzuca go w ogień.

Stos płonie.

Grzmią fanfary.

W powietrzu unoszą się strzępki spalonych kartek. Ludzie dmuchają, bibułka podfruwa, śmieją się, spada im na głowy. Dowcipkują — uspokojeni, znowu pogodni. Wokół ogniska tańczą dzieci. Tylko patrzeć, jak będą w nim piekły banany.

Welbeck wsiada do czarnej limuzyny. Jego auto prze-myka się teraz uliczkami Akry i wyjeżdża na przestronną Independence Avenue. Minister jedzie do Flag Staff House.

Do Nkrumaha.

Premier wysłucha relacji z wiecu. Będzie się śmiał, bo śmiech jest tu reakcją na wszystko, co się dobrze kończy. Demonstracja zorganizowana przez partię była sprawdzianem. Wynik jest dodatni: lud czci swego Kwame.

Kwame — to krewny, brat. Tak się o nim mówi. Kobieta pokazuje niemowlę. Jak ma na imię? — pytam. Kwame Nkrumah. Ona sama ubrana jest w suknię z nadrukiem podobizn premiera. Kwame na piersiach, Kwame na plecach itd.

Nkrumah żartuje:

— Bardzo chciałbym wiedzieć, ilu Kwame Nkrumahów znajduje się w naszym kraju. Obawiam się, że pozostanie po mnie opinia niesłuchanie płodnego mężczyzny.

On sam ożenił się niedawno. Lubi podkreślać, że przez całe życie unikał kobiet, pieniędzy i obowiązkowej religii:

— Uważam, że te trzy czynniki winny odgrywać

bardzo małą rolę w życiu człowieka, gdyż w chwili, gdy jeden z nich weźmie górę, człowiek staje się niewolnikiem, a jego indywidualność zostaje złamana. Obawiam się, że jeśli zgodzę się na to, aby kobieta odgrywała jakąś poważną rolę w moim życiu, stopniowo zacznę tracić z oczu cel, do którego dążę.

Ten cel ustala sobie Kwame jeszcze jako chłopiec: wyzwolenie Ghany. Żeby to osiągnąć, trzeba najpierw kimś być. Kimś być — to pierwsze zadanie. Ghana jest wówczas kolonią. Murzyn nie ma szans zrobienia kariery. Kwame postanawia wyjechać na studia do USA. Ojciec — złotnik w małym miasteczku — nie ma pieniędzy na kształcenie syna. Ale Kwame skończył już seminarium pedagogiczne i jest nauczycielem w szkole misji katolickiej w Elmina. Uczy pięć lat, oszczędza, głoduje, odkłada każdy grosz. Mieszka w strasznych warunkach, ale ciuła na bilet.

W 1935 roku, mając 26 lat, wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Zostaje przyjęty na Uniwersytet Lincolna. Jak się czuje w tym kraju?

„Jechałem autobusem z Filadelfii do Waszyngtonu. Autobus zatrzymał się w Baltimore, aby pasażerowie mogli się odświeżyć. Nękało mnie pragnienie, wszedłem więc do bufetu stacyjnego i poprosiłem białego amerykańskiego kelnera o szklankę wody. Zmarszczył się i popatrzył na mnie spod oka:

— Tam możesz się napić.

I pokazał soplwaczkę”.

Uczy się, pracuje, działa, zarabia:

„W moim pojęciu, jeśli nie byłem zajęty przez 24 godziny na dobę, marnowałem czas”.

Więc:

jest placowym w firmie Sun (stocznia Chester). „Bez względu na pogodę pracowałem od północy do 8 rano. Czasami mróz był tak ostry, że ręce przymarzały do stali. W dzień uczyłem się”.

Więc:

pracuje w fabryce mydła. „Na dziedzińcu fabryki zwalano góry gnijących wnętrzności i kawałków tłuszczu zwierzęcego. Uzbrojony w widły, musiałem nakładać ten cuchnący towar na taczki. Coraz trudniej było mi powstrzymać się od torsji”.

Więc:

w czasie wakacji jedzie do Nowego Jorku. „W Harlemie z kolegą kupowaliśmy ryby po cenach hurtowych i resztę dnia spędzaliśmy na rogach ulic, usiłując je sprzedać”.

Więc:

jest stewardem na statku „Shawnee” (linia: New York — Vera Cruz). „Szef oświadczył mi, że do końca rejsu będę szorował garnki. Później awansowałem do zmywania półmisków”.

Nie ma gdzie mieszkać.

W Filadelfii przepędzony z dworca przez policję — szukali tu z kolegą schronienia — idzie nocować do parku. Na szczęście, w przeciwieństwie do parków londyńskich, bramy były otwarte. „Znaleźliśmy ławki i położyliśmy się, myśląc, że tu spokojnie spędzimy resztę nocy. Los jednak zawziął się na nas. Ledwie usnęliśmy — zaczął padać deszcz”.

Studiuje, uczestniczy w zebraniach, jest bardzo aktywny, pracuje nad sobą:

„Stałem się wolnomularzem 32 stopnia i byłem nim przez cały czas pobytu w Stanach Zjednoczonych”.

Działa:

„Zacząłem również organizować Stowarzyszenie Studentów Afrykańskich Ameryki i Kanady. Piszę broszurę «W kierunku wolności kolonii»”.

Ciekawi go socjalizm naukowy:

„Wielkie wrażenie wywarły na mnie zwłaszcza prace Marksa i Lenina”.

Studiuje teologię i zarazem:

„Poświęciłem wiele wolnego czasu na wygłaszanie kazań w kościołach murzyńskich. Prawie w każdą niedzielę byłem zapraszany do tego lub innego kościoła dla wygłoszenia kazania”.

Kiedy w 1945 roku opuszcza USA, ma już za sobą zajęcia jako wykładowca filozofii Uniwersytetu Lincoln (historia grecka i murzyńska). „Zostałem uznany za najwybitniejszego profesora roku”.

Jedzie do Londynu:

„Jedną z moich przyjemności w Londynie było, gdy kupiwszy egzemplarz «Daily Worker», jedynej gazety, jaką chętnie czytałem, rozkładałem ją w najbardziej oszpeconym sposobie i obserwowałem, jak raptownie skupiały się na mnie spojrzenia wielu par oczu”.

Aby opalić lokal Związku Studentów Zachodnioafrykańskich, którego jest wiceprezesem, chodzi po ulicach i zbiera kawałki węgla.

Zarazem pisze pracę doktorską z filozofii: o logicznym pozytywizmie.

Określa swoją słynną doktrynę pokojowego bojkotu. Jest to: doktryna afrykańskiego socjalizmu, opartego na taktyce konstruktywnej działalności, bez uciekania się do przemocy.

Kwame wraca do Ghany.

Jest rok 1947.

Zna go tu osobiście chyba pięciu ludzi. Może tuzin. Nie więcej. Ale ta grupka kieruje ruchem wolnościowym: stoi na czele powstałej właśnie Zjednoczonej Konwencji Złotego Wybrzeża, czegoś, co jest bardzo szerokofrontowe, zupełnie bezprogramowe i wielce nieokreślone. Ta grupka ma się za ludzi od myślenia. A trzeba im kogoś do czarnej roboty. Na tę robotę prowadzą Nkrumaha.

Wszystko, co ma, to ta praca. „W tych dniach cały mój majątek mieścił się w małej walizeczce”.

W następnym roku maszeruje w stronę rezydencji

generalnego gubernatora, w stronę zamku Christiansborg — pokojowa demonstracja. Idą tam kombatan- ci drugiej wojny z petycją o przyznanie Złotemu Wybrzeżu samorządu. Policja oddaje kilka strzałów, jest dwóch zabitych. W tym miejscu rosną dziś piękne kwiaty. Sto razy pokazują mi to miejsce: za wolność Ghany zginęło dwóch ludzi. Stoję, pochylam głowę. Kofi pyta się:

— Czy za wolność Polski też ktoś zginął?

W Akrze zaczynają się rozruchy, podpalenia, grabieże. Kierownictwo Zjednoczonej Konwencji idzie pod klucz. Nkrumaha wywożą na północ, do sawanny. „Tam umieszczono mnie w małej lepiance, gdzie dzień i noc pozostawałem pod nadzorem policji”.

Uwalniają go, a kiedy podejmuje robotę, widzi, że nic go nie łączy z tamtymi liderami.

Oni chcą paktować z Anglikami w gabinetach.

On też chce paktować z Anglikami. Ale za oknem — twierdzi — musi stać gniewny tłum.

Tamci to oksfordczycy, chcą dochodzić swojego na drodze prawnej. A Kwame czytał Lenina. Lenin prowadzi go na ulicę: patrz — mówi — tu jest siła.

— Siła? — dziwi się Kwame.

Stłoczone uliczki, krzyk handlarek, dzieci śpią w cieniu bram. Na rogach wystają bandy wyrostków, wypatrując awantur. Muzułmanie leżą odurzeni słońcem. Pod ciężarem worków skamlą żyłaści tragarze.

„Tu jest siła!” — upiera się ten Rosjanin. Jeśli mówi biały, nie można mu bardzo wierzyć. Ale Kwame jest sam. Liderzy odwrócili się od niego. Chcą go wysłać z powrotem do Anglii.

I Kwame odwołuje się do ulicy. Do handlarek, wyrostków, tragarzy. Do chłopów i urzędników. Do młodzieży, przede wszystkim do młodzieży. I to posunięcie rozstrzyga.

Anglicy się wahają.

Kwame rzuca hasło powszechnego bojkotu.

Całe życie ekonomiczne kraju zamarło.

Znowu areszty, represje, pałki. Kwame idzie do więzienia. Tłumy zbierały się przed więzieniem, śpiewając hymny i pieśni. Jedna z tych piosenek pt. „Ciało Kwame Nkrumaha gnije w więzieniu” została mi żywo w pamięci.

Ustępstwo Anglików: zezwalają na powszechne wybory (pierwszy tego typu wypadek w Afryce). W lutym 1951 roku Ghana głosuje. Zawrotne zwycięstwo partii Nkrumaha: 34 na 38 miejsc w parlamencie.

Głupia sytuacja — partia wygrywa wybory, a ciało jej przywódcy gnije w więzieniu. Anglicy muszą go wypuścić. Kwame na ramionach tłumu płynie z celi więziennej na fotel premiera. Po drodze zatrzymują się na West Endzie: „Tu dokonaliśmy tradycyjnego obrzędu oczyszczenia. Zabito owcę w ofierze, a ja musiałem siedem razy stanąć bosymi nogami we krwi ofiary, co miało mnie oczyścić ze zbrukania przez pobyt w więzieniu”.

Drzwi jego domu nie zamykają się nigdy. Ludzie przychodzą radzić się albo prosić o pomoc. Przynoszą mu pozdrowienia. Nieraz kąpie się w łazience, a przez drzwi rozmawia z jakimś przybyszem. „Przeciętnie sypiałem cztery godziny. Nie dają mi spokoju, nie dają mi odpocząć. Bo ja jestem takim automatem, który się rano nakręca i który nie potrzebuje ani snu, ani pożywienia”.

Kiedy premier wyjeżdża do wiosek, śpi tam w lepiankach. Czasem zagada się na ulicy do nocy, więc nie wraca do domu, zostaje w jakimś przygodnym mieszkaniu. Tym sobie zjednuje wszystkich. Tak mija jego czas.

Za sześć lat, 6 marca 1957 roku — Ghana otrzyma niepodległość. Będzie pierwszym wyzwolonym krajem Czarnej Afryki.

Tłum stoi na placu West End. Tłum stoi w słońcu, pod białym niebem Afryki. Tłum stoi i czeka na Nkrumaha, czarny, cierpliwy tłum, tłum spocony. Ten plac, ta brunatna patelnia w centrum Akry, jest pełen po brzegi. Ostatni próbują się wcisnąć; mało brakuje, a płot grodzący plac zacznie trzeszczeć i dzieciarnia, która obsiadła sztachety, będzie spadać jak banany. Gorąco.

Taki wiec może by bliżej morza. Tam jest przewiew i palmy dają cień. Ale co tam przewiew i palmy, jeśli to by się nie zgadzało z historią. A historia poucza nas, że w 1950 roku Kwame Nkrumah zwołał wiec właśnie na West Endzie. Ludzie przyszli i też stali, i ten żar wisiał nad ziemią, był styczeń, miesiąc upalny, miesiąc suszy. Kwame Nkrumah mówił wtedy o wolności. Ghana musi być niepodległa i o to trzeba walczyć. A są trzy drogi. Droga zbrojnej rewolucji. Tę mówca odrzucił. Droga gabinetowych układów. I tę mówca odrzucił. Jest także droga walki ludu o wolność środkami pokojowymi. Hasło takiej walki padło wówczas właśnie na West Endzie.

A teraz jest rocznica tamtego dnia, święto prawie; premier przemówi i powie to, co wszyscy przywódcy na całym świecie bardzo lubią mówić: „Nasza droga była słuszna”.

Na placu wkopali wysokie maszty. Masztów jest dwanaście. Na każdym osiem portretów Nkrumaha. Razem: 96 portretów. Między masztami nylonowe linki, a na linkach nylonowe chorągiewki. Na chorągiewkach znak holenderskiego piwa Heineken. Razem wygląda to na wielki statek. Statek nigdzie nie płynie. Tkwi na mieliźnie miasta, ludzie czekają, co dalej.

Dalej na trybunę wchodzi ministrowie i przywódcy rządzącej partii. Na tę okazję ubrani są w mufti, strój, który przypominałby ornat, gdyby był bardziej sztywny i gęściej haftowany. Tłum ożywia się, słychać oklaski.

Jeśli ktoś z tłumu jest znajomym albo kuzynem ministra, to pozdrawia go gromko:

— Halo, Kofi! (to do ministra oświaty, Kofi Baako).

— Halo, Tawiah! (to do sekretarza generalnego partii, Tawiaha Adamafio).

Oni odpowiadają gestem ręki i sadowią się w głębokich fotelach. Wtedy do mikrofonu ustawionego na trybunie podchodzi pastor. Poznaje go: to Revren Nimako, głowa Kościoła metodystycznego w Akrze. Pastor będzie się modlił, bo składa ręce i zamyka oczy. Stare głośniki, rozwieszane na placu, szwankują i chrypią, ale sens modlitwy jest jasny, dziękczynno-błagalny. Pastor dziękuje Bogu, że błogosławił ludowi Ghany. Że miał w pieczy Kwame Nkrumaha. Że wysłuchał próśb z tego zakątka ziemi wznoszonych do nieba. A potem prosi, aby Bóg nie zaniechał swoich dobrodziejstw i aby przyszłość tego kraju była za wolą Najwyższego światłana i niezmacona.

— Amen — mamrocze tłum; a na ulicy wyrostki strzelają dwiema petardami.

Pastor ustąpił i do mikrofonu podszedł K.A. Gbedemah, minister finansów. Powiedział, że musimy czekać, bo wódz jeszcze nie przyjechał, a ponieważ mamy czas, on przypomni historię walki o niepodległość Ghany. W połowie tej relacji doniesiono, że jedzie Nkrumah. Tłum zakołysał się, ludzie zaczęli wyciągać głowy, dzieci powędrowały na ramiona starszych. Z fotela na trybunie wstał Tawiah Adamafio i zawołał:

— Towarzysze, kiedy ukaże się nasz ukochany przywódca, wszyscy pozdrówcie go, wymachując chusteczkami wysoko. Ooo, ta-a-a-k — pokazał, a tłum przećwiczył dwa razy.

Na trybunie stanął Kwame Nkrumah.

Był w szarej mufti, tak jak na pomniku przed gmachem parlamentu. W rękę trzymał magiczną pałecz-

kę, obciągniętą skórą małpy, która, jak wierzy się, ma odpędzać od człowieka wszelkie zło i siły nieczyste.

Plac wybuchnął wrzawą. Furkotały chusteczki, ludzie skandowali:

— Jah-hia! Jah-hia! — co znaczyło, że byli zachwyceni. Niemowlaki, drzemiące dotychczas w zawiniątkach na plecach matek, poruszyły się niespokojnie, ale w tym hałasie nie było słychać ich płaczu.

Za Nkrumahem weszło na trybunę, którą obsiadły już tłumy dzieciaków, sześciu policjantów w kaskach motorowych. Dwóch z nich stanęło na rogach podium, a czterech rzędem za fotelem premiera. Rozstawili nogi, ręce założyli do tyłu i tkwili tak nieruchomo do końca wieczoru.

Nkrumah usiadł w fotelu, za małym stolikiem obitym flagą narodową, i plac nagle ucichł. Było ciągle upalnie, w takim klimacie nawet wznoszenie okrzyków jest męczące. Ktoś zaintonował jedną z pieśni partyjnych, ale zanim podchwycili ją inni, na trybunie zjawili się dwaj czarownicy. Jeden z nich to Nai Wolomo, główny czarownik okręgu Ga, w którym leży Akra. Drugiego nie znam. Zaczęli obrządek rytualnym tańcem. Wykonując zaklęte piruety, kłaniali się nisko Nkrumahowi. Pochylając się przed premierem, musieli wypinać się do tyłu, co bawiło ludzi, więc klaskali i wołali znowu:

— Jah-hia! Jah-hia!

Czarownicy przystanęli zmęczeni i wyjęli dwie butelki sznapsa. Sznaps to wódka, którą Holandia eksportuje do Ghany, w smaku bimber zakropiony perfumami. Ale teraz sznaps był zaklęty, przemieniony w święty napój, i czarownicy poczęstowali nim Nkrumaha. Premier wstał, wypił kieliszek z rąk czarownika i akt ten ludzie skwitowali nowym aplauzem. Teraz reszta napoju, wśród zaklęć i tajemnych gestów, mają-

cych przebłagać złego boga morza, została wylana na głowy najbliższych, jak u nas śmigus-dyngus.

Zaczął się przemówienie Nkrumaha (nazajutrz tekst przemówienia ukazał się w dzienniku „Evening News” pod tytułem: „Nowa Biblia dla Afryki”). Nkrumah stanął przed mikrofonem, rozejrzał się po placu i powiedział:

— Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

To był 8 stycznia, więc ludzie wybuchnęli śmiechem. Nkrumah zrobił poważną minę i tłum momentalnie zamilkł. Ludzie czekali wpatrzeni w niego. Teraz Nkrumah zaśmiał się i wszyscy zaśmiali się za nim. Spoważniał i twarze zebranych stały się natychmiast poważne. Uśmiechnął się i tłum był już uśmiechnięty. Zaczął w języku fanti, że dawno się nie spotykali, ale jak widzi — wszyscy dobrze wyglądają.

— To dzięki tobie, Kwame! — odezwały się głosy.

Po tym wstępie obejrzał się i na ten znak podszedł do niego Adamafio, dźwigając wysoki pulpit. Na pulpicie leżały kartki z przemówieniem. Było po angielsku. Premier tytułował słuchaczy:

— Towarzysze i panowie!

Mówił twardo, wyraźnie, jednostajnie. Nkrumah jest świetnym mówcą, o oszczędnej, ale dobitnej gestykulacji. Nawet Anglicy twierdzą, że z wielką przyjemnością patrzą, jak przemawia. Jest mężczyzną średniego wzrostu, dobrze zbudowanym, przystojnym. Inteligentna twarz o wysokim czole, mądrym, smutnym spojrzeniu. Nawet kiedy Nkrumah się śmieje, to spojrzenie pozostaje smutne.

— Towarzysze i panowie!

Przypomniał swoje dwie maksymy: osiągnij najpierw królestwo polityczne, a wówczas zdobędziesz resztę, oraz — niepodległość Ghany jest frazesem, dopóki nie jest powiązana ze sprawą całkowitego wyzwolenia kontynentu afrykańskiego.

Kwame powiedział, że jedna bitwa o Ghanę została wygrana: kraj jest wolny. Teraz toczy się druga bitwa „o zbudowanie gospodarki i wyzwolenie ekonomiczne”. Jest ona znacznie trudniejsza i bardziej skomplikowana. Wymaga większego wysiłku, ofiarności i dyscypliny.

Tu przypuścił ostry atak na własne szeregi. Uderzył w biurokracizm partyjny. W karierowiczów i dygnitarzy.

— Muszę stanowczo ostrzec tych, którzy postawieni przez partię na odpowiedzialnych i wpływowych stanowiskach, zapominają się i myślą, że są ważniejsi niż sama partia. Muszę ostrzec tych, którzy wstępują do partii, sądząc, że mogą wykorzystać to dla osobistych korzyści, dla samowychwalania kosztem partii i narodu.

Uch, to się spodobało! Plac zrobił mówcy wielką owację. Plac krzyczał:

— Anko, Kwame! Anko, anko!

— Jeszcze, Kwame, powtórz to, oj, powtórz!

Wśród oklasków, zawołań i śpiewów przed trybunę wyskoczył chłopak w koszuli o barwach partyjnych i narodowych zarazem (czerwono-biało-zielonej) i zaczął wykręcać zawrotne salta. Trzy salta w jedną stronę, zwrot, i trzy w drugą. Nkrumah przerwał mowę, przyglądając się popisom z zaciekawieniem. Trzy salta na plecy, trzy salta w przód. To był dobry akrobata, możecie mi wierzyć. W końcu się zmęczył i oklaskiwany zniknął w tłumie.

Nkrumah przeszedł teraz do ulubionego tematu: mówił o Afryce.

W czasie przemówienia koło Nkrumaha stał Adamafio — sekretarz generalny partii. Adamafio odbierał przeczytane kartki i zerkał w te, które premier właśnie czytał. Kiedy znajdował miejsce godne zbiorowego aplauzu, odwracał się do tłumu i podnosił wysoko rękę

Wróciłem do Warszawy. Miałem przygotować notatkę o tym, co widziałem w Kongu. Opisałem walkę, rozpacz, klęskę. Wtedy wezwał mnie pewien towarzysz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Co wyście wypisali! – oburzył się. – Rewolucję nazywacie anarchią! Uważacie, że Gizenga odejdzie, a Mobutu wygra! To szkodliwe teorie! – Jedźcie tam – odparłem zmęczonym głosem, bo jeszcze czułem w kościach Stanleyville i Usumburę. – Jedźcie i zobaczcie sami. I życzę wam, żebyście wrócili żywi. – Trudno – powiedział na zakończenie rozmowy ten towarzysz – ale nie możecie jeździć za granicę jako dziennikarz, bo nie rozumiecie procesów marksistowsko-leninowskich zachodzących w tamtym świecie. – OK – zgodziłem się – tu też mam o czym pisać.

Znowu pracowałem w „Polityce”, jeździłem po kraju, drukowałem reportaże. W Kongu stało się tak, jak musiało stać się, co zresztą było oczywiste dla każdego, kto tam był. W kilka miesięcy później dostałem propozycję wyjazdu na kilka lat do Afryki. Miałem być pierwszym stałym polskim korespondentem w czarnej Afryce i założyć tam placówkę PAP. Na początku roku 1962 wyjechałem do Dar es-Salaam.

ISBN 978-83-07-03459-1



9 788307 034591

www.czytelnik.pl